

## **Sukces w cieniu tragedii. „Polish Pamir Expedition 2008”**

Już pomysł tej wyprawy zrodził się w sposób niestandardowy. Powstał on mianowicie w głowie autorki tego tekstu gdzieś na ok. 6000 m n.p.m. na zboczach Piku Somoni. Było to podczas ewakuacji po nieudanej próbie w sierpniu 2007. Zejść po to, żeby tu wrócić za rok i spróbować „wyrównać porachunki” – wtedy to była jedyna motywacja, żeby nie położyć się w śniegu i tam nie zostać. Jak widać skuteczna.

### **Powrót w Pamir**

Obietnica dotrzymana. W rok po „2x7000 – Pamir Expedition 2007” gotowa do wyruszenia w ten sam rejon jest kolejna wyprawa, również zorganizowana pod auspicjami Klubu Skialpinistycznego Kandahar - „Polish Pamir Expedition 2008”. Tym razem jest nas ósemka: Marcin Kaczkan (KW Warszawa), Marek Liwski, Robert Róg (Grupa Karkonoska GOPR, KW Jelenia Góra), Maciek Stańczak, Dawid Stec (Grupa Beskidzka GOPR), Irek Waluga, Szymek Wawrzuta (Grupa Beskidzka GOPR) i ja – jedyna z zeszłorocznej ekipy i jedyna z Kandaharu.

Naszą inicjatywę oprócz klubu wspiera szereg firm i instytucji. Odlo dostarcza uczestnikom bieliznę termoaktywną, Viking rękawiczki i maski, Marabut namiot, Warmers ogrzewacze chemiczne. Firma Inhead przygotowuje stronę internetową, Olympus wypożycza specjalistyczny aparat fotograficzny, zaś preferencyjne ceny sprzętu zapewniają marki Himal Sport, Trekking Mahlzeiten, Uvex oraz Warmpeace. Finansowo wspierają nas firmy Marica i Cefedro. Patronatem medialnym obejmują wyprawę „Góry”, portale Goryonline.com, Onet.pl, NaszeMiasto.pl, Wspinanie.pl, Turnia.pl, Beskidy24.pl, a także pismo „Obywatel” oraz miasto Szczyrk.

Oprócz nas w tym samym czasie i miejscu planuje działać druga grupa Polaków - „Pamir 2008 Expedition” Klubu Wysokogórskiego Jastrzębie Zdrój. Obydwie wyprawy w planach mają zdobycie dwóch szczytów: Piku Eugenii Korżeniewskiej (7105 m n.p.m.) i Piku Ismaila Somoni (dawniej Kommunizma, 7495 m n.p.m.) – obydwu wliczanych do „Śnieżnej Pantery” czyli kompletu siedmiotysięczników b. ZSRR. Ja na Korżeniewską weszłam w 2007, jednak wiedząc, że na Somoni ktokolwiek zapuszcza się dopiero pod koniec sezonu, aklimatyzację planuję wraz z pozostałymi także na niej.

Wyruszamy wspólnie z wyprawą jastrzębską 16 lipca i już kolejnego dnia jesteśmy w stolicy Tadżykistanu Duszanbe. Optymistyczny plan zakłada, że w bazie będziemy już osiemnastego. Tadżyckie realia mają go jednak wkrótce zweryfikować. A to nie ma helikoptera, którym mamy dolecieć na Polanę Moskwin, bo agencja nie dogadała się z wojskiem. A to zawiodła pogoda. Lot przesuwana się z dnia na dzień, a my siedzimy w Dżirgital, miasteczku u stóp Pamiru, i już nie wiemy, co ze sobą zrobić: czy iść na wycieczkę, czy kąpać się w lodowcowej rzece, czy może – to opcja najczęstsza – iść na piwo.

Wreszcie 24 lipca punktualnie o szóstej rano śmigłowiec Mi-8 z trudem odrywa się od ziemi, przeciążony „przemyconym” przez nas nadbagażem. Po półgodzinnym widokowym locie jesteśmy już w bazie. Na Moskwinie nic się od zeszłego roku nie zmieniło: „dzielnica”

luksusowa, z namiotami bazowymi i stołówką zwaną przez nas „Szkłarnią”, dla wypraw z dużym pakietem, i skromniejsza dla posiadaczy pakietu małego. W tej ostatniej wkrótce urządzamy się tak, że jesteśmy w zasadzie samowystarczalni.

### **W majtkach po lodowcu**

Nie ma czasu do stracenia, więc już kolejnego dnia wyruszamy na Korzeniewską. Wszystko jak w zeszłym roku – te same czerwone kruche skały, te same sfatygowane poręczówki. Tylko że w tym sezonie wszystko to jeszcze nie przechodzone, więc kamienie lecą zewsząd. Część osób dociera do jedynek na 5100 m n.p.m., część zostawia swoje depozyty poniżej. Kolejnego dnia, po noclegu w bazie, większość odpoczywa, Irek biegnie zostawić depozyt w jedynce, zaś zaaklimatyzowani wcześniej w Alpach Marek i Robert wyruszają z bazy z zamiarem dojścia jak najwyżej.

Szymek, Dawid, Marcin i ja dołączamy do ekipy w jedynce kolejnego dnia. Z porannej łączności wiemy już o lawinie seraków, która zniszczyła kilka namiotów i raniła jedną osobę. Seraki spadały z przeciwległego zbocza, a jednak co większe siłą rozpędu doleciały aż do namiotów położonych na zboczu po drugiej stronie dolinki – czyli jednak czasem naprawdę „lawiny zapier... pod górę”. Wieczorem mamy okazję doświadczyć tego na własnej skórze. Ludzie wybiegają z namiotów w skarpetkach, niektórzy tylko w majtkach, by po chwili zostać ogarnięci śnieżną chmurą. Na szczęście seraki tym razem do obozu nie dolatują.

Kolejny dzień, kolejna przygoda. Miejscowi przewodnicy potwornie guzdrzą się z poręczowaniem lodowej ścianki poniżej dwójki (5800 m n.p.m.). Większość osób, w tym Marek i Robert, rozbija namioty w obniżonej dwójce na 5600 m n.p.m. Mnie jednak przychodzi do głowy dotrzeć do właściwego obozu nowym wariantem. Pomysł podłapują Szymek i Dawid i już po chwili w trójkę napieramy pod górę. Dochodzimy do nieciekawego lodu, zachodzi słońce – zawracamy. Docieramy z powrotem do jedynek, do której w międzyczasie z bazy doszli Irek i Maciek, po czym padamy. Następnego dnia schodzimy do bazy.

### **Jeden procent szans to dużo**

Teraz następuje małe przetasowanie zespołów. Z powodu choroby jednego z chłopaków ja zostaję dzień dłużej w bazie, a mój partner Marcin wyrusza do jedynek. Nazajutrz chory czuje się lepiej, więc Szymek i ja postanawiamy Marcina dogonić. Ostatecznie dochodzimy do pośredniego obozu na 5600 m n.p.m., a Marcin do dwójki 200 metrów powyżej. Szymek i ja przez te wszystkie przetasowania nie mamy przy sobie radia. Wiemy tylko, że tego dnia – pierwszego sierpnia - z obozu trzeciego na szczyt wyruszyli: z naszej wyprawy Irek, Robert i Marek, a z Jastrzębia Irek Wolanin i Krzysiek Apanasewicz. Tego dnia zapisuję w dzienniku wyprawy: „Po południu pogoda się psuje, ale tak było nieraz, więc się o nich nie stresujemy, choć wyszli późno.”

Nazajutrz rano trudno nam zrzucić z siebie zmęczenie poprzedniego ciężkiego dnia. Z bez troski wyrывa nas miejscowy przewodnik, który właśnie otrzymał z trójki wiadomość:

- Dwóch waszych ludzi nie wróciło wczoraj ze szczytu. Idźcie do góry pomóc.

I tyle, nic więcej. Szok, niedowierzenie... i pytanie: KTO? Mamy jeszcze nadzieję, w nocy przecież pogoda nie była taka zła. Zbieramy się szybko i „pędzimy” w górę na ile tylko pozwalają nam ciężkie plecaki, z których niczego nie możemy się pozbyć – wszystko to potrzebne będzie w razie akcji poszukiwawczej tam na górze. Pokonujemy zaporęczowaną ściankę, jesteśmy w dwójce, którą rano opuścił Marcin. Nadciągają ciemne chmury. Przez Szymka przemawia rozsądek – mówi, żeby tu zostać. Przeze mnie – desperacja – chcę iść, a jemu każe zostać. Desperacja wygrywa, ale rozsądek podąża za nią – czyli w końcu idziemy oboje. Na szczęście pogoda się nie załamuje. Bardzo w tym roku złodzony trawers do grani na 6100 m n.p.m. pokonujemy aż 5 godzin. Po drodze spotykamy schodzącego Irka Walugę, jak się okazuje autora pierwszego wejścia na Korzeniewską w tym sezonie, a następnie Roberta i Marka, którym udało się wczoraj wejście w stylu alpejskim. Od nich dowiadujemy się, że zaginął Krzysiek, natomiast Irek wrócił rano do obozu. U góry trwa już akcja, którą dowodzi kierownik wyprawy z Jastrzębia Arek Grządziel.

W tej chwili to bez różnicy, o kogo chodzi i jak małe są szanse. Nawet jeden procent szans to dużo. Wystarczająco dużo, żeby drzeć do góry ile sił. Wieczorem jesteśmy na grani, w obniżonej trójce na 6100 m n.p.m. Do właściwej trójki na 6400 m n.p.m., gdzie dotarł dziś Marcin, po prostu po wysiłku ostatnich dwóch dni nie jesteśmy w stanie dojść. Dostaję radio jastrzębiaków – znam górę z zeszłego roku, może moja wiedza się na coś przyda. Jedyne co jestem w stanie zrobić to zgłosić się do dyspozycji Arka i zasnąć obok Szymka w jakimś pustym namiocie.

Nad ranem słyszymy na radiu jak z trójki wyruszają Marcin i ksiądz Zbyszek Zimniewicz, aby pomóc Arkowi i Marianowi Hudkowi w trwających u góry poszukiwaniach. Jestem zła, że nas nie wzięli. Dopiero później zrozumieć, że tak wypoczęci i zaaklimatyzowani nie na wiele byśmy się tam zdali. Tymczasem wstaje dzień. Podchodzimy do właściwej trójki. Spotykamy Irka Wolanina, który doszedł już nieco do siebie i w towarzystwie kolegów szykuje się do zejścia. W południe na radiu słyszymy, że cała działająca u góry czwórka przeszukując kopułę szczytową zahaczyła też o wierzchołek Korzeniewskiej. Dla Marcina to przedostatni szczyt „Śnieżnej Pantery”. O tym jednak teraz nikt nie myśli. Arek i Marian upierają się, choć nie są dostatecznie zaaklimatyzowani, spędzić drugą już noc w namiociku na 6800 m n.p.m. Marcin i Zbyszek schodzą. We mgle nie mogą znaleźć drogi, więc Szymek i ja wyruszamy im naprzeciw. Wkrótce jesteśmy już razem w obozie. Mały nasz udział w akcji, ale zawsze coś. Wieczorem Zbyszek odprawia mszę – dziś niedziela...

Do obozu nie wraca tego dnia samotny Rosjanin, który rano poszedł na szczyt. Trwa załamanie pogody. Szanse znalezienia go są niemal żadne, szanse, że poszukujący powiększą złowrogą statystykę Eugenii – duże. Nikt nie wychodzi z obozu...

Nazajutrz pogoda się nie poprawia. Wszyscy już wiemy – szanse znalezienia Krzyśka żywego z nikłych stały się zerowe. Martwimy się teraz o Arka i Mariana. Na szczęście koło południa chwilowe okno pogodowe umożliwi im zejście do trójki. Kolejnego dnia wreszcie się wypogadza. Ostrożnie, odkopując zasypane poręczówki, wszyscy z wyjątkiem Szymka i mnie schodzą do bazy.

## **Nie moja góra**

Mimo tego, co się stało, życie toczy się dalej. Wracamy do realizacji planu wyprawy. Po południu tego samego dnia, w którym większość osób opuściła trójkę, dociera do niej Francuz Nicolas, a wieczorem Dawid i Maciek. Pięć osób wystarczy do torowania. Nazajutrz wyruszamy więc na szczyt. Za radą Nicolasa, aby uniknąć zimna, późno, o ósmej. Idzie nam się dobrze, choć masy śniegu nie pozwalają na szybsze tempo. A śnieg jest nie związany z podłożem, grozi wyjechaniem, na rakach tworzą się kule. W miejscu, gdzie, jak przez radio dowiadujemy się z bazy, najprawdopodobniej spadł Krzysiek, waham się, czy nie zawrócić, ale końcu idę z chłopakami dalej. Jest godzina 14:00 - do szczytu, jak twierdzi baza, około trzy godziny, a gdy doliczyć do tego powrót, widać jasno, że nie zdążymy do trójki przed zmrokiem. Postanawiam więc zostać na przełęczce, gdzie za pomocą rąk, raków i czekana kopię jamę na noc, zaś pozostali ruszają w górę. Zanim jama jest gotowa wracają - na szczęście się wycofali i zdążymy jeszcze zejść. Noc spędzamy jednak w obozie.

Następnego dnia chłopacy odpoczywają, aby dnia kolejnego podjąć drugą próbę zdobycia szczytu. Ja dowiaduję się od przybyłych z dołu przewodników, że ich koledzy wybierają się już na Somoni. W końcu to jest mój cel, a nie powtórne wejście na Korzeniewską. Z ogromnym plecakiem i kilkoma przygodami po drodze schodzę więc sama do bazy. W dzienniku wyprawy obok statystyki Eugenii piszę „To już nie jest moja Góra. Nie chcę tu już nigdy wracać.”

Nazajutrz, ósmego lipca około południa, na szczycie Piku Korzeniewskiej stają wraz z francuskim kolegą Maciek, Dawid i Szymek. Tego samego dnia w bazie żegnamy się z jastrzębiakami, którzy rezygnują z dalszej akcji górskiej, aby w świecie tadżyckiej biurokracji wywalczyć, mimo nie odnalezienia ciała Krzyśka, dokumenty niezbędne dla jego rodziny. Razem z nimi, by im pomóc, leci także nasz Marek. Jak się później dowiemy, dokumenty uda im się uzyskać, tak dla rodziny Krzyśka, jak i Rosjanina, który nie wrócił z Korzeniewskiej. Więcej naprawdę zrobić nie mogli.

### **Kto rano wstaje... ten toruje**

Pobył w bazie ma to do siebie, że tak pożądanym, gdy jest się u góry, na dole w praktyce szybko staje się nudny. Mnie aż nosi po Moskwinie w poszukiwaniu chętnych do wspólnego torowania na Piku Somoni. Ostatecznie nad ranem jedenastego wyruszamy: Marcin i ja; oprócz nas tylko dwójka Rosjan, których można określić dwoma słowami: lenie i śpiochy. Reszta naszej wyprawy odpoczywa jeszcze po pierwszym szczycie.

Nie powtarzamy zeszłorocznego błędu – żeby się nie „zajechać” na pierwszym, kluczowym odcinku, Żebrze Borodkina, pierwszego dnia rozbijamy się na 5100 m n.p.m., choć jest zaledwie jedenasta rano. Drugiego dnia o podobnej porze jesteśmy powyżej zaporęczowanego przez przewodników wielkiego seraka na 5600 m n.p.m. I tutaj ślady przewodników się kończą. Jesteśmy tu pierwsi w tym sezonie. Śniegu tradycyjnie jest dużo, więc kolejnego dnia nie próbujemy przebić się dalej z dwudziestopięciokilogramowymi plecakami, lecz idziemy na lekko. Tylko Marcin i ja, Rosjanie zrobili sobie wolne. Zostawiamy depozyt na 5800 m n.p.m. i wracamy. Tego samego dnia z bazy w ślad za nami wyruszają w dwóch zespołach Maciek i Irek oraz Szymek, Dawid i Robert.

Na drugi dzień doganiają nas znacznie bardziej energiczni Rosjanie - Jura Jermaszek i trzech innych alpinistów, z których jednemu nadajemy ksywkę „Pan Cyborg”, a także trójka

Ukraińców. To oni przebijają się na drugą stronę Żebra i schodzą na Wielkie Pamirskie Plateau – kilkunastokilometrowy płaski odcinek lodowca na wysokości ok. 5900 m n.p.m. My ostatni odcinek Borodkina zostawiamy sobie na dzień kolejny, co okazuje się złym pomysłem – w nocy załamuje się pogoda, śnieg ciągle pada, widoczność prawie żadna. Na szczyt Żebra (ok. 6200 m n.p.m.) torujemy więc po omacku, nie wiemy przy tym, że w tym roku droga prowadzi inaczej niż w zeszłym. Cztery godziny spędzamy więc na górze zanim chwilowe przejaśnienie pozwala nam znaleźć trawers poniżej. W międzyczasie doganiają nas Maciek i Irek i już wspólnie, z przygodami, pokonujemy bardzo emocjonujące w tych warunkach zejście. Po południu jesteśmy wreszcie w obozie na Plateau, gdzie nasi wschodni sąsiedzi od wczoraj wypoczywają w ciepłych śpiworkach.

Teraz przed nami Pik Duszanbe (ok. 6990 m n.p.m.), ten sam, który „dobił” mnie i kolegę rok temu. Tym razem zamiast kopać się kilkanaście godzin bez przerwy rozkładamy sobie tę przyjemność na dwa dni. Noc spędzamy w wietrznym obozie na 6500 m n.p.m. Przez obydwa dni wiatr jest tak dokuczliwy, że ubieramy na siebie wszystko co mamy. W dodatku nasze ślady są momentalnie zawiewane, zapewniając idącym dzień za nami Robertowi, Szymkowi i Dawidowi te same uroki torowania, jakie dane są nam.

Drugiego dnia po południu osiągamy wierzchołek Piku Duszanbe. Podobno do przełęczy u stóp właściwego szczytu stąd tylko godzina. Co z tego, kiedy mgła ogranicza widoczność do kilkunastu metrów. Rozbijamy się w osłoniętym miejscu pod szczytem. Tutaj dowiadujemy się, że nasze wsparcie w torowaniu, Jura i jego dwóch towarzyszy, muszą schodzić żeby zdążyć na samolot; z ich ekipy zostaje tylko Pan Cyborg. Kolejny, wreszcie pogodny, ranek dla Marcina i mnie oznacza ósmy dzień akcji górskiej. Tym razem to my wylegujemy się dłużej w śpiworach, czekając aż wschodni sąsiedzi przetrą trasę do przełęczy. Oni po przetorowaniu wracają, chcą jutro atakować stąd. My natomiast razem z Irkiem i Maćkiem przenosimy namioty na przełęcz.

Dziewiętnasty lipca. Marcin budzi mnie o czwartej trzydzieści – na nizinach mózg mi się o tej porze zawiesza, a co dopiero tutaj, na 7000 m n.p.m. Pozostali śpią. Potwornie wieje już od nocy, jest tak zimno, że z trudem zakładamy buty, uprząże, raki. Z wyjściem czekamy do siódmej na próżno licząc, że będzie cieplej i wiatr osłabnie. Ruszamy. Dochodzimy do skałek, Marcin rusza pierwszy. Ja asekurując stoję w miejscu i zamazam. Mówię mu, że w dwójkę nie damy rady, „zajedziemy się”, proponuję odwrót. Wracamy.

Zanim znajdziemy się w upragnionych śpiworach dostrzegamy nadchodzącą od strony Piku Duszanbe grupę. To Pan Cyborg, jeden z Rosjan-śpiochów oraz trzech Ukraińców. Do naszego obozu dochodzą wraz ze słońcem o dziesiątej i... idą na szczyt. Oczywiście uznajemy ich za szaleńców. Irek i Maciek idą za nimi, lecz po krótkim rekonesansie wracają. No bo jak to, o takiej porze? Ku naszemu zdziwieniu między szesnastą a dziewiętnastą cała piątka schodzi, zmęczona lecz szczęśliwa, mówiąc że Somoni zdobyty. A więc to tak blisko, my też mogliśmy już być po.

### **Dzień dla nas**

Dwudziestego sierpnia. Rano cieplej, a przede wszystkim nie wieje – już to wskazuje, że to nie będzie zwykły dzień. Coś mi mówi, że to dzień dla nas, że się uda. Bo jak nie dziś to wcale. W końcu to już dziesiąty dzień na tej górze. Marcin i ja wyruszamy o cywilizowanej

godzinie ósmej, Irek z Maćkiem oraz Dawid, Szymek i Robert wystartują dwie godziny po nas. Ślady wczorajszej grupy zawiąło, ale widać ich zarys, więc wiemy gdzie iść. Nasz wczorajszy wariant chyba nie był dobry. Jak zawsze zmieniamy się na prowadzeniu, idzie nam się dobrze, nie ma żadnego lodu, wymagającego poręczowania, którym na dole straszili nas przewodnicy. Mnie po głowie chodzi zjazd tędy na skiturach. W międzyczasie za nami pojawiają się kolejne postacie – oprócz naszych chłopaków na szczyt wyruszyło siedem osób z Rosji. Wychodzimy na grań. Robi się ciepło, zdejmujemy puchy. Granią do szczytu już tylko pół godziny. Bardzo emocjonujące pół godziny – jeden fałszywy krok, potknięcie czy złe ustawienie stopy i... Idziemy więc w wielkim skupieniu.

Wreszcie, około trzynastej, pierwsi tego dnia stajemy na szczycie. Dla widoku jaki się stamtąd roztacza warto było męczyć się z tą górą dwa sezony. Obowiązkowa sesja zdjęciowa i schodzimy. Po drodze spotykamy naszych. W obozie jesteśmy o piętnastej. O osiemnastej dochodzi ostatni zespół. Jeszcze nie do końca do nas dociera, że całą siódmką weszliśmy na szczyt, że Marcin tym samym jako trzeci Polak uzyskał tytuł „Śnieżnej Pantery”. Jeszcze nie wiemy, że te dwa dni i dziewiętnaście osób na szczycie to wszystko, na co góra pozwoli w tym sezonie. Myślimy tylko o tym, że już nie będzie śniegu sypiącego się rano do śpiwora, uderzeń wiatru w namiot, że będzie jedzenie, prysznic, sauna...

### **Kamień i lód**

Zanim jednak dane nam będą te luksusy czeka nas jeszcze czwarta noc na 7000 m n.p.m., poranne torowanie na Pik Duszanbe, przeplatane „dupozjazdami” zejście na Plateau, wreszcie przykra niespodzianka w postaci zjedzonego przez nieznaną sprawców depozytu. Irek, Maciek, Szymek, Dawid i Robert po ubogiej kolacji spędzają noc na Plateau, podczas gdy Marcin i ja idąc kilka godzin przed nimi dajemy jeszcze radę podejść na Borodkina i zejść Żebrem aż na ok. 5200 m n.p.m. Rano powstrzymujemy przybyłego z bazy przewodnika przed ściągnięciem naszym chłopakom wszystkich poręczówek i w wakacyjnym nastroju schodzimy na dół. Gdy już opalamy się na bezpiecznym lodowcu w dolinie, ze ściany obrywają się seraki, przelatując w poprzek drogi, którą szliśmy pół godziny temu. Nas dosięga tylko niewinna chmura bieli – pożegnalny prezent od Somoni po dwunastu spędzonych razem dniach. Chłopacy po przygodach z poręczówkami, z których kilka przewodnik jednak ściągnął, szczęśliwie docierają do bazy tego samego dnia po południu. Teraz czas na to wszystko, o czy tam u góry tak marzyliśmy.

Dwa dni później, tym razem planowo, przylatuje helikopter. Zwijamy naszą namiotową wioskę, na którą przez miesiąc z jednej strony spoglądał Pik Somoni, z drugiej Pik Korzeniewskiej. Po tym sezonie wiem bardziej niż kiedykolwiek, że każda z tych gór to tylko pokryty lodem i śniegiem kamień, niewart ryzyka, jakie nieraz podejmujemy. A jednak patrząc ostatni raz w stronę Somoni mówię do niego jak do dobrego kumpla:

- Ładnie dziś wyglądasz w słońcu. Dzięki, że tym razem się udało. Do zobaczenia kiedyś.

A potem patrzę na skrytą w chmurach Eugenię i pytam:

- Dlaczego to zrobiłaś?

Milczy.